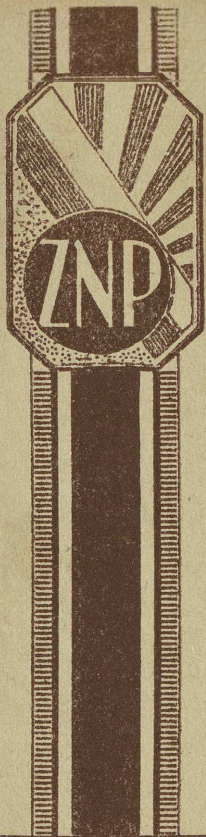


SER. I



BIBLIOTEKA SZKOLNA Nr. 10

GUSTAW MORCINEK

ŁYSEK Z POKŁADU IDY

NAKŁADEM ZW. NAUCZ. POL. OKR. ŚL.

10511

GUSTAW MORCINEK

ŁYSEK Z POKŁADU IDY

OPOWIADANIE

WYDANIE DRUGIE



NAKŁADEM ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO.

Okr. Śląskiego.

KATOWICE — 1945



M. P.
Lys

1301

Tekst według wydania pierwszego
Biblioteki Szkoły Powszechnej 1933 r.

Drukarnia Państwowa w Nowej Rudzie Nr. 6581

R 3682

1. ZAPACH SIANA.

Łysek za nic w świecie nie chciał wejść do windy. Czerniała przed nim groźnem rusztowaniem sztab żelaznych i dlatego bał się ogromnie.

— No, spróbujcie jeszcze raz! — zachęcił szytgar¹⁾ Konderla swoich ludzi. — Nie krzyczcie na niego, nie bijcie...

— Dyc' my z nim jak z malowanym jajkiem! — mruknął niechętnie zezowaty Bortliczek. Trzymał bezradnie konia za wędzidło, sapał z utrudzenia i raz wraz ocierał się z potu. Potem poklepał go po karku i jał dobrotliwie przymawiać:

— No, pódź koniczku, pódź... Nie rób głupoty!... Widzisz, pódź!... Nie bój się, nic ci nie zrobimy!... — i jał go znowu ciągnąć do windy.

Lecz Łysek lękał się windy. Znowu zaczął się szarpać na wędzidłowej uwięzi, rzucał głową, chrapał groźnie, a kopytami zapierał się w żelazną podłogę. Oczy jego zaś, zazwyczaj łagodne i mądre, wyrażały przerażenie.

¹⁾ dozorca kopalni.

— Na, pódźże, faronie! — wrzasnął rozzłoszczony Bortliczek. — A wy kamraci¹⁾ nie stójdzie, ale pomóście!... — i szarpnął mocno za uzdę. Łysek rzucił się gwałtownie. Podkute kopyta uśliznęły się po wyświechtanej płycie żelaznej, zazgrzytały i koń zwałił się ciężko na bok. Odskoczyli górnicy, odskoczył i Bortliczek, ale nie puścił wędzidła.

— Podeprzeć z boku! — krzyknął sztygar Konderla.

Podparły konia liczne dłonie i jeły się mocować z jego ciężarem. Koń zaś zbierał się w sobie, podrzucał, kurczył nogi i szukał dla nich oparcia. Znalazł!... Gwałtownym wysiłkiem dźwignął się i stanął.

Otoczyli go ludzie kołem i patrzyli, jak dygoce.

— Boi się! — rzekł chudy Gagór.

— Nie pójdzie, psiowelna, do windy!... — dodał inny.

— Co z nim zrobimy?

Zafrasowali się wszyscy, a sztygar Konderla miesił tytoń²⁾ w ustach i spluwał ze złości.

— Już wiem! — powiedział zezowaty Bortliczek. — Zawiążemy mu oczy i siano przystawimy do pyska. To pójdzie!...

— Dobrze radzicie! — uradował się Konderla. — Więc skoczcie jeden po trochę siana, a drugi po jaką szmatę. Ale już!...

Skoczyli i przynieśli. Szmata była brudna i cuchnąca smołą, siano zaś pachniało dalekimi łąkami

¹⁾ towarzysze, koledzy. ²⁾ górnicy żują przy pracy tytoń, podobnie jak marynarze. Zwitek tytoniu zżutego nazywają śliwką.

i słońcem. Spojrzał Łysek na Kuboka i ujrzał siano w jego umorusanych dłoniach. Wciągnął w nozdrza korzenny zapach i ścicha zarżał.

— Widzicie? Pójdzie! — zauważył z radością Bortliczek.

Szymiczek zawiązał Łyskowi oczy tamtą cuchnącą szmatą. Łysek spoczątku bronił się i rzucał łbem, lecz górnicy przytrzymali go w twardej dłoniach. Potem Kubok przystawił siano do jego pysku. Łysek wyciągnął chciwie głowę. Nie może dostać wargami siana. Lecz siano pachnie, tak bardzo pachnie.

— No, wio koniczku! — zachęcił go łagodny głos Kuboka.

Koń postąpił krok. Siano wciąż pachnie. A tamten ciepły, łagodny głos wciąż zachęca. Postąpił drugi krok, potem trzeci i następny... Powoli, ostrożnie jak ślepiec. Z boków wiodły go ciepłe dłonie, zlekka popychały. Zadudniły kopyta w windzie, zahuczały pustym, żelaznym grzmotem. Łysek wzdrygnął się, zatrzymał. Lecz siano nęci i nęci.

— No, wio koniczku, wio!... — woła Kubok i przytyka siano do jego nozdrzy.

Łysek chwilę się waha, lecz potem stąpa za tamtym słonecznym zapachem. Powoli, ostrożnie jak górnik idący bez lampy w nieznanym ganku. Kopyta wybijają poczwórny łoskot, a łoskot zamienia się teraz w dudniący grzmot i przewala zmierzwionym echem w szybie.

— No, chwała Bogu! — westchnął szczerze sztygar Konderla.

Z drugiej strony windy wyszedł Kubok, Łysek zaś stoi w windzie i wciąż wyciąga łeb za sianem.

— Dajcie mu już to siano, a wy drudzy prędko założyć kraty! — rzucił twardo sztygar. — Wy, Kubok... wy zostaniecie w windzie przy Łysku. Trzymajcie go za uzdę mocno, lampę powieście sobie na pasku, a siano dajcie mu zjeść. Pod szybem¹⁾ wyprowadźcie go, odwiążcie oczy i zaczekajcie na nas!

Chrześci suche siano w pysku Łyska, szczękają zakładane kraty, a Kubok truchleje na myśl, że Łysek może się płoszyć w windzie, kiedy polecą pod ziemię. Trzyma więc mocno Łyska za wędzidło i przyrzeka sobie, że w szybie będzie jeszcze mocniej trzymać.

Zakrzyczał dzwonek trzykrotnie, winda zadygotała i runęła w studnię. Łysek szarpnął się w pierwszej chwili, lecz potem już stał spokojnie i jadł siano z Kubokowej dłoni. A Kubok szeptał pacierze.

Westchnął z ulgą, kiedy winda stanęła w obrębie gromnicznych świateł podszybia. Górnicy w podszybiu otworzyli windę i pomogli Kubokowi wyprowadzić z niej Łyska. Łysek przez chwilę wciągał w nozdrza zapach kopalni, potem pogrzebał kopytem, a kiedy Kubok zdjął mu z ocz szmatę, obejrzał się zdziwiony.

— Dziwiejcie się! — zauważył jeden z górników. — Oglądo się, nie przymierzając, jak człowiek.

— Piękny koniczek!... Szkoda go do kopalni!... — rzekł drugi i poklepał po karku.

— On tu albo oślepnie albo też niezadługo zdechnie!... A szkodaby go było!

¹⁾ szyb t. j. studnia, służąca do spuszczenia ludzi do kopalni i wyciąganie ich za pomocą windy, oraz do wydobywania węgla na powierzchnię ziemi.

— A pewnie! Koń długo nie wytrzyma w kopalni. To nie jest człowiek...

— Tak, tak!... Człowiek wytrzyma, ale koń ni!...

— A nacóż tu koń potrzebny pod ziemią, kiedy na wszystkich przekopach¹⁾ lokomotywki ciągną wózki?

— On przeznaczony do pokładu²⁾ Idy! — wyjaśnił Kubok.

Koń tymczasem patrzył po ludziach swemi mądrymi, łagodnymi oczami i dziwił się, rżąc leciuchno.

2. W POKŁADZIE IDY.

Łysek był bardzo pojętny. Wszyscy górnicy dziwili się jemu i z zachwytu cmokali i w dłonie plaskali, a najbardziej się dziwił, cmokał i w dłonie plaskał krzywy Kubok.

— Wiecie ludzie! — mawiał pod szybem, kiedy czekało się na windę po szybcie³⁾. — Wiecie ludzie złoci, ale takiego konia jeszcze nie widziałem w życiu!...

I szeroko opowiadał, jaki on zmyślny i mądry, sprytny i oswojony, popierał swoje wywody przy-

¹⁾ główny ganek czyli chodnik w kopalni, prowadzący do szybu. ²⁾ warstwa węgla. W kopalni znajduje się kilka lub kilkanaście warstw węgla, różnej grubości, poprzedzielanych calizną piaskowca. Pokłady te leżą najczęściej ukośnie. Każdy z nich jest oznaczony imieniem albo liczbą porządkową. Np. pokład Idy, Jana, Bożeny... albo pokład 15, 16, 17 i t. p.

³⁾ po ukończonej robocie jednej serji górników. Trwa ona 7 godzin na dobę.

kładami, przytaczał ich całe mnóstwo, a kamraci słuchali, żuli powoli tytoń i co raz któryś z nich głową kiwał mądrze i głośno przytakiwał Kubokowi.

Cała załoga kopalni Gwidona o niczem teraz nie rozprawiała, jak o koniu Łysku, który w pokładzie Idy ciągnie za sobą wagoniki z węglem, a po szychcie odpoczywa w sklepionej stajni, wykutej w caliznie piaskowca pod pochylnią¹⁾. Komu było bliżej, zachodził do niego, nie żałując trudu. Trzeba było bowiem schodzić długą pochylnią do upadu, a pochylnia była niska i stroma. Nie żalowali jednak trudu, bo warto było patrzeć na Łyska.

Stawali gromadą we drzwiach sklepionej niszy, podnosili lampy i patrzyli. A Łysek oglądał się na nich, mrużył swoje duże łagodne i mądre oczy i rżał. Wtedy podchodzili do niego i klepali go umorusanymi dłońmi po grzbiecie lub po karku, cmokali na niego, przemawiali dobrotliwie, a jeżeli komuś kawałek chleba nadbyło, wtykali mu do pyska i radowali się głośno, kiedy Łysek brał tamto darowisko ludzkie w miękkie wargi i miesił je na papkę w żółtych zębskach.

Z czasem utarł się już taki zwyczaj, że stale, co dnia, przynoszono mu chleb i cukier, i raczono go szczodrze. Łysek zaś uważał, że tak być powinno. Kiedy posłyszał we drzwiach stajni ludzkie głosy i kiedy światełka górniczych lampek zapalały koło niego, wyciągał szyję i domagał się daniny. Górnicy nauczyli go, żeby sięgał po chleb i cukier do kieszeni. I wtedy zaśmiewali się z radości jak dzieci, kiedy

¹⁾ ganek, pochylony pod pewnym kątem, biegnący do upadu.

Łysek patrzył chwilę po próżnych dłoniach górników, a potem jął każdego obwąchiwać i wtykać łeb do kieszeni. Jeżeli nic w niej nie znalazł, parsknął niezadowolony i bił się ogonem po nogach. Lecz nie ustawał w szukaniu. Tak długo obwąchiwał surduty i tak długo wtykał łeb w ich fałdy, aż wkońcu wyciągał pajdę smakowitego chleba lub kęs umorusanego cukru.

Górnicy radowali się jego obecnością w podziemiu, jak kimś ogromnie bliskim. W kopalni Gwidona nie posługiwano się końmi od kilku lat. Pracę ich spełniały płaskie, krępe lokomotywki elektryczne, goniące z krzykiem po długim przekopie i wlokące za sobą nieprzejrzone szeregi pospinanych wagoników. Wagoniki terkotały starym żelaziwem, szczękały łańcuchami, gruchotały spiętrzoną łoskotem, na przedzie zaś gnała lokomotywka z jednym wytrzeszczonym światłem, podobna do niesamowitego smoka o jednym wybałuszonym oku. Ludzie usuwali się jej pod ściany, ona zaś jazgotała zardzewiałym dzwonkiem i gnała przed siebie naoslep, a za nią pędziły wagoniki na złamanie karku.

— Jakby taka bestja człowieka dopadła, to życie wydusi na amen! — mawiali i spluwali za nią niechętnie.

Górnicy nie lubili lokomotywek, chociaż spełniały pracę za kilkadziesiąt koni.

— I tak więcej nie zarobimy przy tych potworach! — mawiali. — A nawet mniej, niżeli wtedy, kiedy konie ciągnęły wagoniki pod szyb.

Często wspominali tamte chwile, kiedy po przekopie wędrowały różne Fuksy, Boski, Siwki i Kasztany,

wlokące za sobą z wysiłkiem różnec wagoników z węglem. Żał im było tamtych koni, bo z czasem wszystkie ślepy, a wywiezione na powierzchnię dogorywały na łaskawym chlebie. Lecz w ich towarzystwie czuli się innymi ludźmi. Nie wyrzekali na swą ciężką dolę, nie zżymali się na nią. Dlaczego tak było — nie wiedzieli. Wiedzieli tylko, że im dobrze z nimi. Zdawało się każdemu, że to istoty tak samo cierpiące, jak oni sami. Uważali je za swoich przyjaciół, którzy umieją patrzeć na człowieka, jak ktoś, kto posiada czujące serce.

Obecnie Łysek stał się znowu takim samym przyjacielem. Spokojny on, cichy lecz wierny i współczujący. Dzieli wraz z nimi wspólną dolę. Co więcej — jemu gorzej się wie dzie, bo stale przebywa w kopalni, skazany na ciemność, aż do śmierci. Po kilku latach tak samo straci wzrok, jak wszyscy jego poprzednicy. Tyle tylko ma dzisiaj światła koło siebie, co ta skąpa lampka górnicza ciasny krąg w mrokach rozjaśni. A potem, kiedy wszyscy ludzie wyjadą na powierzchnię, to on stoi w zestokrotnionej nocy i przypomina sobie widziane kiedyś słońce i łąki. Wtedy może jego serce ściska się z bólu. Bo chyba taki Łysek ma serce?... Pewnie, że ma. Musi mieć!... On ma takie serce, jak człowiek, które tak samo umie się radować i tak samo cierpieć, jak ludzkie serce.

Tak myśleli wszyscy górnicy, chociaż nigdy o tym nie mówili. Mówił tylko o tym krzywy Kubok, którego sztygar Konderla przydzielił do Łyska. Łysek pracował w pokładzie Idy. Ludzie zaś pracowali w nim bardzo daleko od pochylni, która wychodziła już na przekop, a przekop prowadził już pod szyb, szyb zaś

— na powierzchnię do słońca. Ludzie pracowali w nim bardzo daleko. Blisko godzinę trzeba było wędrować ciasnym gankiem od przekopu do przodku ¹⁾, gdzie rąbano węgiel. Na lokomotywę nie było w nim miejsca. Pracę za ludzi musiał wykonywać Łysek. Zaprzągał go Kubok do dwunastu wagoników w przodku, zawołał: — Wio!... — i Łysek wędrował z ładunkiem po krętym, ciasnym, dusznym ganku. Aż do pochylni. Pod pochylnią spoczął sobie na chwilę tak długo, dopóki Kubok nie zaprzągał go do dwunastu próżnych wagoników. Potem wracał z nimi do przodku. I tak wkółko przez całą szychtę. Od godziny 7 rano do 2 popołudniu. Na drugi tydzień zaś od godziny 3 popołudniu aż do 10 w nocy.

Łysek był bardzo pojętny. Rychło zrozumiał kiedy mu wypada głowę schylić pod złamaną stropnicą ²⁾ w ciasnym ganku, by w nią nie uderzyć czołem; wiedział — kiedy przystanąć lub usunąć się pod ścianę, jak podnosić nogi, by się nie potknąć na torze; a przede wszystkim wiedział, kiedy Kubok pragnie go oszukać. Łysek nie pozwolił się oszukać. Jeżeli Kubok zamiast dwunastu wagoników spiął trzynaście, wtedy wystarczyło, że Łysek pociągnął mocno. I zaraz zrozumiał, że Kubok o jeden wagonik za dużo przyczepił. Wówczas nie chciał ciągnąć. Choćby go nawet biciem zmuszać. Uparł się i nie pojechał. Kubok rad nie rad musiał jeden wagonik odczepić, a wtedy dopiero Łysek zapierał się nogami w pył między szynami

¹⁾ Miejsce, gdzie górnicy kopią węgiel.

²⁾ belka, wsparta na dwóch stemplach, pionowych słupach, podtrzymujących strop (powalę).

i ciągnął swój ciężar do pochylni. Na przedzie szedł krzywy Kubok, w prawej dłoni kolebał z lekka światłem, lewą dłonią zaś trzymał Łyska za uzdę u pysku. Pół kroku za nim szedł ciężko Łysek, kolebiący się za każdym stąpieniem, a za Łyskiem klekotały wagoniki, zbyrczały łańcuchami, dzwoniły tępo i kwiczały nie-nasmarowanymi kółkami. Mniej więcej w środku drogi poziom ganku był nieznacznie nachylony. Wtedy Kubok musiał imać sękaty kół, zawczasu już przygotowany pod ścianą, wkładał go między koła pierwszego wagonika i hamował napór reszty wagoników. Gdyby tego nie czynił, wagoniki potoczyłyby się wartko za Łyskiem, najechałyby na jego tylne nogi i połamałyby je w oka mgnieniu.

Po drodze nie odzywał się Kubok do Łyska. Cmo-kał tylko i od czasu do czasu poklepał go lewą dłonią po czole. Łysek zaś dyszał utrudzony, a ciemny pot rozszerzał mu się po grzbiecie i kłębach wielkimi plamami. Napotykanii górniczy usuwali się pod ścianę i witali Łyska dobrym słowem. Jeżeli zaś napotkali idącego sztygara, Kubok zatrzymał wagoniki, bo sztygar miał dla Łyska kęs chleba.

Pod pochylnią dopiero Kubok jął pogadywać z Łyskiem.

Widzisz, koniczku, widzisz!... — mawiał. — Dobrze ciągnąłeś, bardzo dobrze!... Za to cię po szychcie ładnie oczyszcze, obmyję z prochu, dobrego siana przedłożę!... Poje se koniczek mój, poje!... A potem spocznie se koniczek, hej, ale spocznie!... Ciepłuško będziesz miał w stajni... cichuško będziesz miał, będziesz se spał, jak król pod pierzyną!... Widzisz, koniczku!... — i poklepywał Łyska po karku.

Łysek zaś odpowiadał mu cichym rzeniem i kładł mu głowę na ramieniu, grzebał kopytem w pyle, ogonem bił się po nogach, a wielkie, mądre i łagodne oczy patrzyły w Kuboka, jakby ludzkie oczy.

3. PRZYJACIELE.

Łysek miał dwóch największych przyjaciół w całej kopalni. Pierwszym był Kubok, drugim była — duża, tłusta mysz, co miała legowisko za złamanym stemplem¹⁾ pod żłobem w stajni. Poza tym wszyscy górnicy, nie wyłączając nawet pana inżyniera w okularach i pana inspektora z czarną bródką i wielkim brzuchem — byli także jego przyjaciółmi. Lecz największymi, to tylko krzywy Kubok i tłusta mysz z małemi, czarnymi oczkami i z długimi, rzadkimi wąsiskami.

Krzywy Kubok utykał pociesznie na prawą nogę, krzątał się po stajni, mruczał coś do siebie lub zardzewiałym głosem opowiadał Łyskowi kopalniane plotki. Wąsata mysz znowu biegła na krótkich nóżkach po żłobie, podobna do grubej, szarej kluseczki, siadała na brzeżku stempla, podnosiła przednie łapki i drapała się zabawnie po kończystym pyszczku. Czasem tylko spozrzała paciorkowatemi oczkami na konia, potem jej coś do główki strzeliło i już w te pędy toczyła się pociesznie wzdłuż żłobu i siadała na wystającym kamieniu.

¹⁾ Stempel, słup drewniany, podpierający strop czyli sufit w kopalni.

Łysek widział dobrze i mysz i Kuboka. Pod stro-
pem pełgała lampka górnicza, więc można było
wszystko widzieć. I jak długo tam wisi, trzeba
wszystko dokładnie obejrzeć. Bo potem Kubok zdejmie
lampę i odejdzie, a wtedy ciemność stanie wokoło
i wszystko przepadnie. Zostanie tylko zapach dobrego
człowieka i pękata wiązka siana za drabkami, w żłobie
zaś sporo suchego owsa, z którym trzeba się będzie
z myszą dzielić, w drugim żłobie zaś niedobra woda,
cuchnąca zardzewiałym żelazem.

Krzywy Kubok kuszyka po stajni, gruchocze
swojami podkutymi butami na kamiennej podłodze,
mruży bez przerwy, Łysek zaś patrzy na niego
i uszyma strzyże. Kubok napuszcza wodę z krzywej
rury do żłobu, sypie szeleszczący owies do drugiego
żłobu, wpycha siano za drabinkę, a teraz wyciera
umorusaną sierść wilgotnym wiechciem, oblewa Ły-
sków grzbiet wodą, szoruje słomą, potem mówi:
— Z Bogiem, Łysku!... — zabiera lampę i odchodzi.
Wtedy ciemność spada na oczy Łyskowe i nic już
nie widzi. Lecz Łysek ma w oczach obraz wnętrza
swojej stajni i dobrze wie, gdzie szukać wody, a gdzie
siana lub owsa.

Czasem obydwaj, Łysek i Kubok, przypatrują się
myszy. Mysz wierci się pod ich spojrzeniami, biega
niespokojnie, przystanie znienacka, spojrzy na nich
i udaje, że się ich nie boi. Wtedy Kubok śmieje się
cicho i znowu coś mruży dobrotliwie, a Łysek parska
na nią pobłaźliwie.

— Skąd się tu mogła wziąć, ta beskurcja? —
dziwi się głośno Kubok i patrzy na Łyska.

Łysek zaś parska, jak zwykle, a co Kubok sobie tłumaczy, że Łysek odpowiada:

— Nie wiem, Kuboczku, nie wiem, skąd się tu nabrała!...

— No to mało wiesz, Łysku!... — mówi na to Kubok.

— Mało wiem, Kuboczku, bardzo mało!... — parska Łysek.

Kubok siada na skrzyni, gdzie zsypany owies na cały tydzień i patrzy się na Łyska.

— Głupiś Łysku, że tak mało wiesz! — powiada wkońcu.

— Tyś też głupi, Kuboczku! — odpowiada Łysek, przytakując mocno głową.

Kubok wtedy śmieje się zniecka i aż w dłonie płaska z podziwu nad zmyślnością Łyska.

— Przebocz, Łysku... boś ty mądry!... Ho, ho!... Tyś mądry jak sam sztygar Konderla... ba, tyś mądrzejszy od niego!... Naprawdę Łysku!... — i wciąż się śmieje.

— A tyś mądrzejszy niż sam pan inżynier! — parska mu Łysek w odpowiedzi.

Wtedy już Kubok nie może się powstrzymać od śmiechu. Trzyma się za boki i zaczyna rechotać z radości, że Łysek taki zmyślny, co wszystko rozumie. Kiwa się na skrzyni, w której się owies żółci, a skrzynia skrzypi zdziwiona, co to się z Kubokiem dzieje. Długo się tak Kubok zaśmiewa. Wtedy Łysek odwraca głowę, patrzy się na Kuboka i zaczyna się także śmiać po swojemu. Rzy przeciągle, odslania żółte zębska, a nogą grzebie w trocinach. Przestraszona mysz toczy się wtedy szybko, szybciuchno na

krótkich, krzywych nóżkach, śpieszy się ogromnie i wpycha z trudem w wąską szczelinę, co się czerni między żłobem, a złamanym stemplem.

Kiedyindziej znowu mysz nie chroniła się do swego legowiska, lecz siadała na brzeżku żłobu i gryzła ziarenka owsa. Była podobna do maleńkiej, szarej wiewiórki. Bo — podobnie jak wiewiórka — trzymała w przednich łapkach ziarno i chrupała je drobnemi, ostremi ząbkami.

Łysek i Kubok znowu jej się przypatrywali. Przez chwilę milczeli obydwoj, a potem Kubok nie wytrzymał.

— Widzisz, Łysek? — zaczął. — Widzisz, jak się na naszym owsie pasie?

Łysek kiwnął głową na znak, że widzi.

— Oh, jaka już tłusta? Nie przymierzając jak ten mój wieprzek w chlewiku. Widzisz?...

— Widzę!... — kiwnął głową Łysek.

— No, ale też to stworzenie Boskie. Nie godzi się jej zabijać. No nie?...

— Yhy! — dmuchnął Łysek przez nozdrza przytakująco.

— Bo to może być duch Skarbnik ¹⁾. Wiesz, Łysku, co ci powiem, to ci powiem, ale ci powiem, że ja tam w duchy nie wierzę, ale czasem taki duch Skarbnik może się zamienić w mysz!... Hoho!... Ja wiem!...

— Nie plećcie, Kuboczku, ni!... — parsknął Łysek i zlekka się roześmiał.

¹⁾ Górnicy mają przesąd, że w kopalni mieszka dobry duch, którego nazywają Skarbnikiem. Opiekuje się górnkami i strzeże ich przed śmiercią.

— Eh! co ty wiesz!... — obruszył się Kubok, niezadowolony z Łyska, że mysz spłoszył. Bo kiedy Łysek parsknął, mysz przycupnęła przestraszona, a potem potoczyła się do kryjówki.

Przyszedł raz sam pan inspektor z dużymi okularami na nosie. Wszedł zniechęcony i chwilę słuchał Kuboka rozmawiającego z koniem.

— Cóż tyle mruczycie, Kuboku? — zapytał ciekawie.

Stropił się Kubok, że go ktoś obcy zastał na pogawędce z Łyskiem, chrząknął kilka razy a potem rzekł wymijająco:

— Ale nic, pięknie proszę, panie inspektor?... Ale to tak!... Człowiek tu jest sam z tym koniem... A człowiekowi wydaje się, że koń to także stworzenie Boskie, co wszystko rozumie, więc tak z nudów z nim rozmawia... To samotność temu winna...

— No wiem, wiem!... Jabym może to samo czynił! — rzekł łaskawie inspektor i poklepał Łyska po karku.

— A jak Łysek? Zdrowy?... Dajecie mu porządnie jeść?... — zapytał znowu i jał go oświecać błyszczącą lampą. Obejrzał mu nogi, a na nogach pęciny, obejrzał grzbiet i boki, pogłodził pańską dłońią, potem zajrzał mu na zęby, a wkońcu podniósł lampę, i patrzył w jego mądre, łagodne oczy.

— No, jeszcze bystre! — rzekł do siebie z ulgą. — Kuboku!...

— Co, proszę panie inspektor?

— Jeżeli zauważycie, że Łyskowe oczy mętnieją, że stają się jakby kalne... zameldujecie panu inżynierowi... Albo lepiej mnie!... Rozumieliście?...

— Rozumiałem, pięknie proszę panie inspektor!...

— Szczęść Boże! — rzekł jeszcze wyniośle i poszedł.

Przyszli raz górnicy i zastali również Kuboka, jak klócił się z Łyskiem.

— Trąbo jedna! — zżymał się Kubok, oglądający Łyskowe kopyta. — Nie uważasz, kopiesz temi kopyciskami po szynach, łazisz gdzieś po ostrych kamieniach... O!... jakie już masz zniszczone!... Nie możesz to uważać na siebie!...

— Kiedy ciemno!... — uniewinniał się Łysek.

— A czy ci nie świecę, co?... Ty trąbo stomiljońska jedna, ty!...

— Cóż się tak wadzicie, Kuboku, z naszym Łyskiem? — odezwał się za nim czyjś głos, a w tę pędy gruchnął szeroki, mnogi śmiech.

Kubok nie miał czasu odpowiedzieć, bo górnicy wepchali się do ciasnej stajni i jęli przymilać się Łyskowi. Jeden podtykał mu pod pysk kęs chleba, drugi już czekał z kęsem brudnego cukru na dłoni, inni zaś głaskali go po karku, szarpali zlekka za grzywę, plaskali dłonią po zadzie, a wszyscy mówili i radowali mu się pospólnie.

Kubok nie był zbyt rad tym odwiedzinom, gdyż lękał się, że Łysek przywiąże się bardziej do górników, aniżeli do niego. Prostu zazdrosny był o niego. Dotychczas on sam znosił mu najwięcej chleba. Nietylko, że dzielił się z nim własnym chlebem, lecz zachodził jeszcze do pana inżyniera i od służącej Dorotki starał się wycygnąć te resztki chleba, które były dla kur i gęsi przeznaczone.

— Popatrz się, Dorotko! — mawiał do dziewczyny, stojąc za płotem. — Kury i gęsi pana inżyniera mają dosyć czego innego do jedzenia, a Łysek stoi tam w pokładzie Idy... nigdy tego bożego słoneczka nie widzi... niedługo oślepie... widzisz Dorotko!... Dyc mu daj tego chleba!...

Dorotka miała dobre serce dziewczyńskie, w którym się miód rzetelny przelewa. Nie lękała się pani inżynierowej, bo ona też miała dobre serce i chętnie wydzielala — za przymową Dorotki — kęsy chleba dla Kubokowego Łyska. Dorotka przynosiła więc w fartuchu sporo kawałków chleba i przez sztachety podawała Kubokowi.

Potem Kubok mógł raczyć Łyska przez kilka dni. A Łysek pojadał tylko, oblizywał się wachał dłonie Kubokowe i kładł mu głowę na ramię.

Mysz również otrzymywała swoją drobniutką część. Ułomił Kubok drobny kawałek, podrobił w palcach i rozsypał kruszyny na wystającym kamieniu przy żłobie. Mysz jadła, a Kubok z Łyskiem patrzyli ciekawie i pośmiewali się trochę, każdy po swojemu.

A kiedy już Kubok zdjął lampę z pod stropu i poszedł, a ciemność spłynęła na oczy zwierząt w stajni, nastala wielka cisza. Łysek słuchał jej drobniuchnego, jękliwego tonu i wzdychał za słońcem, którego już tak dawno, dawno nie widział. Pod jego głową zaś szeleściła mysz łapkami i ogonkiem, chrupała ziarenka owsa, biegała po brzeżku żłobu i słuchała Łyskowego wzdychania. Nie bała się, tylko słuchała. A Łysek też się nie bał, tylko słuchał życia myszy, tak bardzo podobnego do szeptu wysokich traw, kiedy w nich ciepły wiatr błądzi.

4. METNE OCZY.

Łysek mądrzał z dniem każdym. Nie minął rok, a już wszystko wiedział, co koń w kopalni wiedzieć powinien. Poznawał Kuboka zdaleka. Kubok jeszcze był na pochylni, a Łysek już na niego wołał. Rżał radośnie i grzebał kopytami. A kiedy Kubok wchodził do stajni, Łysek odwracał głowę i patrzył na niego. Obwąchał go najpierw dokładnie, wsadzał mu łeb pod surdut i szukał chleba. A gdy go nie znalazł, ujmował w żółte zębska połę Kubokowego surduta i szarpał. A jeżeli i to nie pomogło, zdierał Kubokowi kapelus z głowy i tak długo trzymał w zębach, dopóki Kubok nie wykupił się chlebem. Nie było innej rady — chleb musiał być.

Górnicy nadal odwiedzali Łyska w stajni lub pod pochylnią i również częstowali go chlebem lub cukrem. Nikomu jednak nie kładł on głowy na ramię, tylko Kubokowi.

Łysek umiał mścić swoją krzywdę. Przyszedł zezowaty Bortliczek pod pochylnię i wraz z innymi górnikami słuchał przechwałek Kuboka o swojej przyjaźni z Łyskiem. W pewnej chwili strzeliła do Bortliczkowej głowy płocha myśl. Wyjął z ust rozpaprany zwitek tytoniu, co go był żuł ze smakiem, włożył między dwa kawałki chleba i podał Łyskowi.

Łysek wziął w zęby, jak zwykle, i jał mieścić. W tej samej jednak chwili skrzywił się, odsłonił wargi i zaczął wypluwać chleb z tytoniem. Potrząsał głową, przymykał oczy, parskał i szeroko otwierał pysk, nie mogąc się pozbyć goryczy tytoniowej na języku.

Bortliczek zaśmiewał się do łez i po udach prał dłońmi z wielkiego ukontentowania. Inni górnicy również się trochę śmiali, lecz kiedy oburzony Kubok stanął w obronie Łyska i jał ostremi słowy wymyślać Bortliczkowi, reszta górników także zaczęła mu wymyślać. Zawstydzony Bortliczek wyniósł się chyłkiem.

Nazajutrz znów przyszedł. Widać tknęło go sumienie i wyrządzone zło chciał naprawić.

— Tylko się nie ośmielajcie do niego podejść!... — ostrzegał go Kubok, patrzący na niego spodełba.

— Hale, dyć to głupi koń!... Nic mi nie zrobi!... — śmiał się Bortliczek. — A zresztą dyć mu chcę dać chleba... Popatrzcie się Kuboku, że to dobry chleb! — i pokazał na dłoni duży kęs razowca.

Podszedł z nim do Łyska. Łysek obejrzał się. I zanim Bortliczek miał czas odskoczyć, chwycił go zębami za ramię i szarpnął gwałtownie.

— Jezus!... — krzyknął Bortliczek i zwałił się na podłogę. Rzucił się Kubok, uchwycił Łyska za grzywę, zasłonił Bortliczka. A Bortliczek zerwał się szybko z podłogi i pobiegł do drzwi. Trzymał się za ramię i ciężko pieronował.

— Widzicie, a mówiłem!... — rzekł Kubok z wyraźnym zadowoleniem w głosie.

— Pierona zabiję! — wrzasnął zły Bortliczek, porwał z kąta kawał szyny i zamierzył się na Łyska.

Skoczył do niego Kubok i jał się z nim mocować, pragnąc mu wydrzeć szynę, Łysek zaś szarpał się gwałtownie na łańcuchu, rżał groźnie i tylnymi kopytami usiłował sięgnąć Bortliczka. Na szczęście przybiegł sztygar Konderla, co pod pochylnią siedział,

i wygonił z krzykiem Bortliczka. A kiedy Bortliczek wracał pod szyb i trzymał się za okrwawione ramię, miotając przekleństwami, Kubok głaskał drżącego Łyska i uciszał go łagodnymi słowy.

Odtąd już nikt nie ośmielił się uczynić krzywdy Łyskowi. On jednak nie dowierzał już górnikom i z nieufnością patrzył na wyciągniętą do niego dłoń z chlebem. Brał z niej chleb, ale jakby z rozwagą i ostrożnie. Zato jeszcze bardziej przylgnął do Kuboka. Co się do niego Kubok odezwał, to on chrapał lub drżał przymilnie. Czyniło to wrażenie, że rozumie ludzką mowę i odpowiada na nią w swoim języku.

Znał już na pamięć swoją drogę w pokładzie Idy. Kiedy dojeżdżał z wagonikami w tamto miejsce, gdzie poziom obniżał się z lekka do upadu i gdzie Kubok wtykał sękaty kół między koła pierwszego wagonika, Łysek przystawał i czekał. A dwa razy pojechał od pochylni do przodku z próżnymi wagonikami, nie czekając na Kuboka. Po ciemku jechał. Z czasem nie trzeba go było wcale prowadzić za uzdę. Kubok kusztykał za ostatnim wagonikiem, a Łysek wiedział dobrze, co mu czynić wypada. Uchyłał głowy pod załamanymi stropnicami, zwalniał w miejscach, gdzie wagoniki zwykły wyskakiwać z kolein, a w przodku lub pod pochylnią bez Kubokowego rozkazu stawał na przedzie nowego pociągu i czekał.

Kubok co dnia oglądał jego oczy. I pewnego dnia skurczyło mu się czułe serce boleśnie. Poszedł do pana inspektora i powiedział:

— Pięknie proszę panie inspektor... bo mnie się zdaje, że Łysek ślepie...

— Ślepie?...

— Jako prawiem! Ślepie!... Tak mi się wydaje... Już też dobrze nie dowidzę, ale tak mi się zdaje, że jego oczy są już trochę kalne!...

— Przyjdę się dzisiaj popatrzeć! — powiedział inspektor.

Przyszedł ku końcowi szychty i oświecił Łyskowe oczy. Łysek już ich nie nakrywał powiekami, kiedy światło ślizgało się po jego źrenicach. Inspektor dojrzał, że powleczone są leciuchną mgiełką, że już tak nie błyszczą, jak ongiś.

— No i co, pięknie proszą panie inspektor? — zapytał trwożliwie Kubok.

— Tak, mieliście słuszność. Łysek już ślepie... Ale pczekajcie!... — i zamyślił się.

— A możeby go tak wywieźć na powierzchnię? — rzekł nieśmiało Kubok.

— Właśnie o tym myślę!... Ale kiedy? — wyjął kalendarz z notesu i zaczął palcem wodzić po literkach.

Kubok czekał i patrzył w oczy pana inspektora. Łysek zaś oparł głowę na Kubokowym ramieniu i także czekał.

— Za sześć tygodni mamy trzy święta. Będzie świętówka¹⁾ i Zielone Święta. Wtedy go wywieziemy na powierzchnię! — rzekł wkońcu inspektor.

— A potem?

— A potem... potem Łysek wróci do kopalni! — powiedział twardo i wyszedł.

Kubok długo jeszcze stał obok Łyska i głaskał jego suchy łeb.

¹⁾ Dzień powszedni, wolny od pracy.

5. ZMARTWIENIE.

Okazało się, że Łyska nie można wywieźć na powierzchnię.

Z głównego chodnika w pokładzie Idy, gdzie Łysek pracował, prowadziło tylko jedno wyjście na przekop i pod szyb. Wyjściem tym była pochylnia, długa i stroma. Pod naciskiem górnych warstw calizny strop jęj w ostatnich czasach obniżył się znacznie, tak bardzo, że Łysek nie potrafiłby już podejść.

Kubok nieraz przyglądał się powale w pochylni, medytował głęboko, lękał się i niepokoił. Wciąż jednak liczył, że Łysek przejdzie. Chociaż z trudem, ale przejdzie. Grzbiet i kark poobdziera sobie boleśnie na złamanych stropnicach, gdy się będzie przeciskał pod obwisłym stropem. Ale i na to znajdzie się rada. Obwinie grzbiet i kark Łyska grubą derką i wszystko będzie dobrze.

Na kilka dni przed świętami, kiedy już górnicy odeszli pod szyb, ujął Łyska za uzdę i poprowadził w górę pochylni. Uszedł zaledwie kilka kroków. Łysek stanął przed zaporą. Grube, spękane i połamane stropnice nie chciały go przepuścić. Kubok zachęcał konia, przymawiał mu do rozumu, tłumaczył dobrotliwie, że powinien się jeszcze mocniej schylić, w kolanach lekko ugiąć, pokazywał mu na swoich kolanach, jak to ma uczynić, lecz Łysek tylko rżał, zapierał się karkiem i grzbietem w stropnice i łypał niespokojnie wystraszonymi oczyma.

— No, Łyseczku... ugnij się w kolanach!... Nie-wiele!... Troszkę tylko!... Zobaczysz, że się zmieścisz!... — dogadywał zatroskany Kubok.

Lecz Łysek nie umiał człapać o zgiętych kolanach.

Kubok powiódł więc teraz konia do stajni i ciężko się zmartwił. Na powierzchni poszedł do pana inspektora i wszystko mu powiedział.

Nazajutrz przyszedł pan inspektor, obejrzał pochylnię i przekonał się, że Łysek istotnie nie przejdzie.

— Wagoniki podjadą, ludzie przejdą, bo się mogą schylić, ale Łysek nie przejdzie. Chyba będzie tu musiał zostać... — powiedział również zmartwiony.

— Jakto, pięknie proszę panie inspektor?... To Łysek nigdy nie będzie wyprowadzony na powierzchnię? — zapytał Kubok.

Pan inspektor nic nie powiedział. Przez chwilę patrzył na Łyska, poklepał go po pysku i zamyślił się. Kubok stał obok i patrzył z niepokojem w oczy pana inspektora.

— Hm... zdaje się... że nie!... — rzekł wkońcu pan inspektor. — Musianoby z powodu niego przebudować kilkanaście metrów pochylni!... Nie opłaciłoby się!...

— Ale on tu doreszty oślepie!

— Hm... Boże... trudno!... To oślepie! Trudno inaczej! To samo będzie z nim, co z innymi końmi. Dawno już w kopalni?

— Trzeci rok się kończy...

— Inne konie przebywały dłużej zanim oślepy. Po kilkanaście lat. A niektóre wcale nie oślepy.

— Ale przecież Łysek musi być kiedyś wywieziony na powierzchnię, pięknie proszę panie

inspektor!... Przecież musi być kiedyś na wierzchu!... On tu nie ma słońca, ani nic!... Panie inspektor!...

Spojrzał zdziwiony pan inspektor na kulawego Kuboka i oczy mu zgasły. Jakby z wielkiego żalu.

— Musi... Hm, pewnie, że musi!... A co zrobić? Przecież sami widzicie, że się nie da tego wykonać!... Musi pozostać w pokładzie!... A gdy już będzie do niczego, zastrzeli się go tutaj i zwłoki wywiezie!...

— Chryste Panie!...

— No, co wam?... Myślicie, że mi to tak łatwo o tym mówić?... Nie można inaczej!... Przebudowa pochylni byłaby za kosztowna...

Kubokowi ścisnęło się serce. Chciał prosić o łaskę dla swego towarzysza, chciał krzyczeć o litość dla niego, lecz nie śmiał. Nie wypadało. Wszyscy górnicy śmialiby się z niego, gdyby się dowiedzieli, że Kubok przejmuje się tak bardzo losem ślepnącego Łyska. Zacisnął więc tylko pięści i patrzył w pana inspektora. Pan inspektor był nachmurzony.

— Szczęść Boże!... — rzekł wkońcu i zabrał się do odejścia.

— Panie inspektor!...

Zatrzymał się pan inspektor, bo w głosie Kuboka wyczuł dławioną rozpacz.

— Co jest?

— Panie inspektor, a gdyby tak się stało...

— Co takiego?

— „gdyby tak się stało, że... że...

— Eh, nie plećcie, nie!... — zachnął się pan inspektor. Wnet jednak jego głos złagodniał, kiedy

spojrzał na Łyska. Ujrzał w wyobraźni samego siebie, jak kiedyś, kiedyś po latach zjedzie do pokładu ldy i stanie przed Łyskiem. Łysek będzie już ślepy. Wyciągnie swój suchy łeb, obwacha jego dłonie, zarzy leciuchno i położy mu głowę na ramieniu. A on strąci ją z ramienia, stanie z boku, podniesie rewolwer i strzeli. Koń zwali się z jękiem na kamienie, może potem jeszcze raz zarzy i skona. A wtedy...

— Słuchajcie Kuboku!... — rzekł mocno. — Ja wszystko uczynię, żeby konia wywieźć. Rozumiecie? Ja wszystko uczynię...

— Pónbóczek zapłać, panie inspektor!...

— No... no... dajcie spokój!... Nie trzeba dziękować. Dzisiaj jeszcze nic nie przyrzekam, ale uczynię wszystko... Gdy się nadarzy najbliższa sposobność, polecę na własną odpowiedzialność przebudować pochylnię... Lecz wiecie sami, że taka sposobność nie tak często się nadarza. Można będzie jeszcze lata czekać na nią!... No, szczęście Boże!... — rzekł i poszedł.

— Dej Panie Boże!... — szepnął Kubok radośnie, bo wielka kropla miodu kapła w jego zbolące serce.

6. WIERNY KAMRAT.

Mijały tygodnie, mijały miesiące, minał wkońcu cały rok, a sposobność wciąż się nie nadarzała. A strop w pochylni obniżał się coraz bardziej.

— No i co, Kuboku? — pytał się inżynier.

— Nic, pięknie proszę, panie inżynier! — mówił Kubok. — Pan inspektor powiedział, że gdy nadarzy

się sposobność, to każe przebudować pochylnię, strop oberwać, żeby Łysek mógł przejść.

— Hm, nie tak rychło się tego doczekacie! — mruknał inżynier i odszedł.

— Pierona, albo sam wywiercę dziury w stropie, wsadzę dynamit, zapalę lonty i niech dynamit uczyni przejście!... — myślał chwilami, spluwając ze złością...

Łysek wciąż wędrował głównym chodnikiem w pokładzie Idy i wciąż włókł za sobą wózki z węglem pod pochylnię i wracał z próżnymi do przodku. Znał już swoją drogę na pamięć. Bywały wypadki, że nie czekał na Kuboka, lecz ruszał po ciemku. Kiedy ciągnął pełne wagoniki, a dojechał do połowy chodnika, gdzie zaczynał się mały upad, zatrzymywał cały pociąg zapierając się zadem w przedni wagonik a kopytami w ziemię. Potem czekał na Kuboka, żeby wsadził kół pod pierwszy wagonik. A kiedy zdyszany Kubok przykuszykał za nim i zahamował koła, ciągnął znowu.

Z czasem wyczerpał się pokład węgla u swego krańca i górnicy cofnęli się do połowy chodnika, rozpoczynając wybiórkę węgla po jego obu stronach. Teraz już Kubok nie zaprzęgał Łyska do pociągu w przodku, gdzie pracowali górnicy, gdyż stąd było już bardzo blisko do tamtego lekkiego upadu. Wystarczyło tylko odepchnąć wagoniki kilka metrów, a one już potem same pędziły po chodniku. Zatrzymywały się o jakie sto metrów za tamtą pochyłością, gdzie tor był już zupełnie równy. Kubok podchodził wtedy z Łyskiem, do wagoników, zaprzęgał go i jechał pod pochylnię. Próżne wagoniki zaś wywlekał z nim

do samego przodku, poczem obydwaj wracali pod upad, żeby czekać na ich przybycie.

Mieli odtąd mniej roboty, i dlatego też obydwaj odpoczywali z ulgą na chodniku. Cisza była wokoło. Kubok siedział pod ścianą i żuł tytoń, Łysek zaś sapał, przeżuwał wędzidło w zębach i patrzył na Kuboka. Potem znienacka dolały obydwóch grzmot staczających się wagoników. Kubok wstawał wtedy i patrzył w ciemny ganek, Łysek zaś oglądał się za siebie i strzygł uszami.

— Nie bój się Łysku, ni!... — uspokajał go Kubok i gładził dłonią po karku.

Grzmot rósł coraz bardziej, przetaczał się w ciasnym korytarzu, pęczniał i huczał przeciągle, a potem stopniowo znowu przycichał, zamieniał się w powolny turkot, aż wkońcu całkiem ustawał. Trwało to niedługo. Kiedy już nastąpiła cisza, był to znak, że wagoniki stanęły. Istotnie na kilka metrów przed Kubokiem wyłaniał się z mroku ich czarny korowód, czekający Łyskowego zaprzęgu.

I znów mijały dni, mijały tygodnie i miesiące.

W położeniu Łyska nic się nie zmieniało. Tyle tylko chyba, że oczy jego coraz bardziej mętniały. Stare serce Kubokowe coraz bardziej zaś kurczyło się z bólu na jego widok.

— Pierona, albo wywiercę dziury w stropie na pochylni, wsadzę dynamit, podpale lonty i niech dynamit zarwie strop, żeby mój Łysek mógł potem przejść przez nową odbudowę! — myślał wciąż Kubok. Brakło mu jednak odwagi, żeby coś podobnego uczynić. Tego nie można uczynić!... Skądżeby?... Chryste Panie!...

Spluwał wtedy ciężko i zęgnął się nabożnie, pragnąc tamtą myśl natrętną odegnać.

Aż wkońcu przyszedł taki dzień, na który czekał Kubok i pan inspektor.

Łysek podciągnął próżne wagoniki do przodku i wrócił pod upad, prowadzony za uzdę.

— Czekaj na mnie, aż wrócę!... — rzekł Kubok do Łyska i wrócił się. Zauważył był bowiem, że tor kolejowy w upadzie trochę się obluźnił. Trzeba będzie go naprawić. Wbije do podkładów kilka nowych gwoździ z szerokimi czapami¹⁾, ujmie nimi szynę i szyna będzie znowu trzymała jak się patrzy. Inaczej toczące się wagoniki mogą się wykoleić i przysporzą niepotrzebnej roboty.

Poszedł z młotem i gwoździami. Jął się szybko pracy, by ją skończyć, zanim nadbiegną wagoniki. Nachylił się i zaczął wbijać gwoździe w podkład. Lampa pełgała uwieszona u stempla. W czasie pracy zdawało mu się, że ze ściany posypuje się na niego drobny miał. Spojrzał raz, spojrział drugi raz, lecz nic groźnego nie zauważył. Ściana była wprawdzie porysowana i spękana, lecz zarwaniem nie grozi. Gdzieżby tam?...

Przedostatni gwoźdź wbijał, kiedy znenacka rozleciał się nad nim suchy trzask, a równocześnie wystrzelił gwałtowny, krótki łoskot obrywającej się calizny. Chciał się zerwać, odskoczyć, lecz w tej samej chwili ostry ból wbił mu się jakby żelaznymi pazurami w schylony grzbiet i ogromny ciężar przytłoczył go do ziemi.

¹⁾ czapa albo czapka t. j. główka gwoźdźcia.

— Jezus!... — krzyknął i cisza.

Zrozumiał, że przywalił go odłupany blok węgla. Szarpnął się raz i drugi. Nie może się ruszyć. Ból odbiera mu przytomność. Czuje się jakby ujęty w potworne kleszcze. Wygina się z trudem i patrzy. Blok leży na jego plecach, wsparty z boku na stemplach. Gdyby mógł dłonią zaczepić o tamte stemple, gdyby mu ktoś dłoń podał i podciągnął, wydobyłby się. Próbuje dostać ramieniem stempla. Nie może. Wysila się wydziera... Blok nie puszcza go z uwięzi. A tam już wagoniki jadą!... Słyszy wyraźnie!... Jadą! Teraz śpieszą... pędzą!...

— Jezus!... Maryjo!... Łysek!... Łysek!... — krzyknął okropnym głosem.

Zrozumiał, że rozpędzony pociąg nadleci z furją, wpadnie na ów blok, pod którym leży, spiętrzy się nad nim okropną burzą, przywali i życie wydusi!...

— Łysek!... Łysek!... — krzyknął jeszcze raz, bo widmo strasznej śmierci stało przed jego przerażonymi oczyma.

Wagoniki grzmiały coraz donośniej, ryczą coraz bliżej!...

— Łysek!... — woła ostatkiem siły i szarpie się obłąkany.

Przenikliwy łoskot pociągu leci do niego coraz bliższy, coraz okropniejszy. Zdaje mu się, że już widzi nadbiegające wagoniki, podobne do okropnych poczwara z rozdziawionymi pyskami, żeby go pożreć!...

Teraz już krzyczy, bez przerwy, opętany z bólu i trwogi.

Zamyka oczy, bo coś się z nim dzieje. Jakaś poczwara z rozwartym pyskiem chrapie nad nim.

— Śmierć!... śmierć!...

Porywa go coś gwałtownie za surdut na karku, szarpie mocno, wyciąga z pod bryły węgla i wlecze...

Za nim spiętrzył się piekielny zgrzyt żelaza i łomot łamanego, drzewa.

Zemdłał.

Otworzył oczy, kiedy ktoś chlusnął mu w twarz zimną wodą.

— Co to?... Co to?... — mamle zdziwiony.

— Nic!... — słyszy nad sobą czyjś głos. — Nic wam nie będzie... Żebra dwa złamane... Wyleczycie się w szpitalu...

— Co to?... — pyta Kubok, niczego nie rozumiejąc.

— Łysek was uratował!... — słyszy znowu tamten głos. — Łysek was wyciągnął w ostatniej chwili z pod oberwanego bloku... Chwycił zębami za surdut na karku i wydobył... W ostatniej chwili...

— Mój Łysek!... — szepnął wzruszony Kubok, bo teraz dopiero wszystko pojał.

— ... a jutro nastąpi odbudowa pochylni i Łysek wyjedzie na powierzchnię... Bo człowiekowi życie uratował! — tłumaczy wciąż tamten łagodny głos.

Podnosi głowę Kubok i widzi nad sobą ludzi, a między nimi pana inspektora, z boku zaś Łyska. Łysek wyciąga do niego swój łeb, patrzy mądrymi oczyma i cicho rzy.

